

**Justyna Liszkowska**

**Justyna ma wielką moc. Jej mocą  
jest ogromna miłość do życia i do działania.**



1.

Jest ciemno. Ulicą Strzelców Bytomskich w kierunku Stroszka – północnej dzielnicy miasta, biegnie niewysoka postać. Porusza się dość szybko, ukradkiem zerka na boki, jakby niepostrzeżenie chciała zlustrować okolicę. Tylko wprawne oko jest w stanie dojrzeć, że z jednego jej łuku brwiowego sączy się niewielka strużka krwi. To pamiątka po niedawnej zwycięsko stoczonej walce. Zazwyczaj wszyscy lubią wygrywać, więc Justyna powinna być z siebie dumna. Czy jest? Jest dumna z tego, że sobie poradziła, ale dobrze wie, że ta walka nie powinna była się wydarzyć. Właśnie wraca do domu, do mamy. Za chwilę minie skrzyżowanie z ulicą Fałata i skręci w prawo, w Cegielnianą. Stamtąd już prosta droga do ulicy Odrzańskiej. Mama od niedawna mieszka w niewielkim, fińskim domku. Justyna domyśla się, że pewnie już czeka ze świeżo zaparzoną herbatą ziołową i ciepłą kolacją. Nie będzie zachwycona tym, co zobaczy. Jak do tego doszło? Czy coś Ci zrobili? Zaleje córkę serią pytań. A Justyna wszystko powie, jak na spowiedzi, bo przed mamą nie da się niczego ukryć. Właśnie zbliżała się do krawędzi miejskiego parku, gdy (nie ma pojęcia skąd) wyskoczyli starsi od niej młodzi mężczyźni i dosłownie rzucili się na nią. Jest przełom wieków, czas wielkich zmian. W Bytomiu zamykane są kopalnie, tysiące ludzi tracą pracę, nie mają z czego żyć. Niektórzy zaczynają kraść. Rośnie liczba napadów. Justyna stała się jedną z ofiar...

Zaczyna się kotłować, nie wiadomo czyja to ręka, kto wyprowadza cios, słysząc trzaski, plask – mocne uderzenie, hydrz – odgłos kopnięcia. Szarpnięcie, przytrzymanie, odbicie! Jęki... a potem stukot kilku par butów na wilgotnym asfalcie. Światło ulicznej latarni złowieszczo mruga. Justyna poprawia kurtkę, naciąga na głowę pomarańczową czapkę i podnosi z ziemi swoje rzeczy. „Co to było?” – mówi półgłosem do siebie. Napastnicy nie mieli pojęcia, że ta niewysoka dziewczyna, którą zamierzali okraść, trenuje Aikido – japońską sztukę samoobrony. Gdy uciekają, nie zdają sobie do końca sprawy z tego, że jeszcze długo będą lizać swoje rany. Justyna natomiast od tego momentu będzie się bać chodzić bytomskimi ulicami po zmroku. Gdy dawniej mieszkała wysoko w górach, ona i sąsiedzi również nie wychodzili po zmroku, lecz nie z obawy przed ludźmi, a przed dzikimi zwierzętami. Tu, w mieście, miało być inaczej. Gdy pewnego dnia zabraknie w Bytomiu mamy, a jej dom zrujnowany szkodami górniczymi, będzie się sypać, Justyna wyjedzie, pozostawiając Bytom za sobą.

2.

Pojawia się w najmniej oczekiwanym momencie, ale z odpowiednim wyczuciem. Na pytanie czy bardziej kocha psy czy koty, zdecydowanie odpowiada, że najbardziej kocha psy. Mówi, że urodziła się w Bieszczadach, w tej części, o której dorośli głośno marzą słowami „rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady”. Wychowała się tam na łąkach i pastwiskach, wśród stada owiec. Od kiedy tylko pamięta, ciągle coś robi, organizuje. Nie lubi niezagospodarowanego czasu i miejsca. Lecz najważniejsze są dla niej relacje. Relacjami dorośli nazywają tę niewidoczną nić, która oplata ludzi i zwierzęta, przez którą zawsze gdy muszą się od siebie oddalić, czują wielki ciężar w środku, a z oczu kapią im łzy. Jest piękne, słoneczne przedpołudnie. Na ukrytym w cieniu tarasie siedzi Justyna, rozmawia z kobietą ubraną na czarno. Choć nigdy wcześniej się nie spotkały i obie są zupełnym przeciwieństwem siebie,

rozmawiają jak serdeczne przyjaciółki. Tuż przy nich, na tarasowych kafelkach leży pies. To Berka, suczka Justyny, jej kompanka doli i niedoli, smutków i radości. Berka jest bardzo spokojna, zupełnie jakby pałacowy taras był jej drugim domem. Jeszcze nie wie, że tocząca się ponad jej głową rozmowa, jest rozmową kwalifikacyjną. Justyna przyjechała do Miechowic na rozmowę w sprawie pracy. Ostatnie dwanaście lat spędziła w Starym Sączu, tam gdzie się wychowała. Gdy opuszczała swoje stare miejsce pracy, w lokalnych gazetach napisano: *Zawsze uśmiechnięta, zawsze pierwsza do pomocy, wybitnie zarządzająca armią wolontariuszy, uwielbiana przez dzieci i młodzież, zorganizowana, kompetentna, przekonująca i potrafiąca zawsze znaleźć kompromis. Swoją wyjątkową osobowością, charyzmą, niezwykłym opanowaniem i zawsze pozytywnym nastawieniem – zyskała sobie wśród nas rzesze sympatyków, a nawet wielbicieli.* Przyjaciele napisali petycję, którą w ciągu paru chwil podpisało kilkadziesiąt osób. Nikt nie chce rozstawać się z Justyną. Uplotła na Sądecku dużo silnych i trwałych nici. Wierzy, że ani czas, ani tym bardziej odległość, nie są w stanie zniszczyć tych relacji. Siedząc na pałacowym tarasie, właśnie snuje nową nić, którą delikatnie łączy z dotychczasowymi sądeckimi pajęczynami uczuć i doświadczeń. Zarówno Justyna, jak i kobieta w czerni, czują, że to spotkanie miało się zdarzyć. Musiało zadziać się to wszystko, co doprowadziło je do siebie i do rozmowy na tarasie miechowickiego pałacu. Kiedy wiele lat temu Justyna opuszczała zrujnowany dom mamy i niebezpieczne ulice, w pamięci zostawiła dobre obrazy – kadry przepełnione słońcem, gwarem najbliższych, zabawą na starym tarasie mamy. Słońce, dobra rozmowa, taras – teraz, w tym momencie czuje się jak dawniej, jak gdyby nic się nie zmieniło...

Ale Bytom jest już zupełnie innym miejscem i tak naprawdę Justyna musi odkryć go na nowo. Już sam pałac w Miechowicach robi na niej wrażenie. Jeszcze niedawno rozsypywał się bardziej niż stary dom jej mamy na Odrzańskiej. Teraz

stoi przed nią w całej swej okazałości, zaprasza do środka. Otaczający go park nie wzbudza lęku. Justyna dostrzega w nim mnóstwo możliwości, oczami wyobraźni widzi, jak razem z dziećmi zaopatrzonymi w szkła powiększające i lornetki wyrusza na wyprawę. To będzie wielka lekcja uważności, czujności i skupienia. Gdy penetruje pałacowe zakamarki, już wie, że w piwnicy spędzi niejedną dłuższą chwilę. To jest teraz jej miejsce. Tu, w najmniej odpowiednim momencie, rodzą się rzeczy dobre i piękne, spotykają się ludzie mniej i bardziej znani, inni, ale wszyscy ważni.

Pewnego dnia, ktoś nazwie Justynę Bieszczadzkiem Aniołem, dobrym duchem nadszańskiej ziemi, który wniósł do Bytomia wiosnę. Gdy pytam dzieci z pobliskiej szkoły o Justynę, robią wielkie oczy, ktoś recytuje na jednym oddechu: *Miała więcej przygód niż Emil z Lönnebergi i Pippi Långstrump razem wzięci. Wie, jak zbudować czteropokojowe igloo i jak przetrwać, gdy zasypie cię śnieg. Małym palcem sama rozprawi się z bandą huncwotów. Narąbie drewna, zmieni koło w samochodzie, upiecze ciastka, z których nie zje ani kęsa – bo to dla gości, przytuli, postawi do pionu. A po wszystkim, z patyczków stworzy zwariowaną szajkę patyczkowych ludków i już razem bawicie się w wojnę na kamyczki.*

Mówię: *Nie wierzę. Takie dziewczyny nie istnieją* i konspiracyjnie mrugam do dziewczynki po prawej stronie – znamy się z pałacowych warsztatów. Dzieci przekrzykują się jedno przez drugie. Z płataniny ich dziecięcych głosów wychwytyuję: *Idź do pałacu. Przekonasz się na własne oczy.* Zatem idę. Staję przez wielkimi drzwiami, naciskam na dzwonek. Po kilku minutach pałacowe wrota otwierają się i wita mnie niewysoka dziewczyna w pomarańczowej czapce – *Siemanko, Wariacie! Chodź, zrobię Ci herbaty.* I już czuję się jak w domu, bezpiecznie. Jest niekończąca się wiosna, bo jest Justyna. Bytom rodzi się na nowo i pięknieje. Schodzimy do piwnicy, gdzie czeka na nas rozłożony stół, kawałki skór, narzędzia. Pachnie pracą i przyjemnością.